

Obama w Kairze – a może frytki do tego?

15 czerwca 2009

Warto zapoznać się z przemówieniem Baracka Obamy wygłoszonym w Kairze. Jest długie, ale jednocześnie ciekawe. Ludzie, odpowiedzialni za jego napisanie zasługują na medal. Barack Obama nie po raz pierwszy od początku swojej kadencji wykonuje bardzo obiecujące gesty. Zasługuje na szansę, ale zamiast bezgranicznej wiary, proponuję surowszą ocenę jego dotychczasowych dokonań.

Słowa nie mają mocy czynów. Niestety. Jak na razie prezydent Stanów Zjednoczonych przypomina kandydatkę na Miss World. Dużo się uśmiecha, jest charyzmatyczny (to jego talent), dla każdego ma miłe słowo, a jego marzeniami są pokój na świecie, skuteczna walka z głodem i rozbrojenie. Niewątpliwie oczaruje tym jury, ale mimo wszystko ważniejsze są efekty działań, a tych jak na razie brak.

Prezydent Obama nie urzęduje długo, zasługuje więc na jeszcze odrobinę cierpliwości. Po prawie 6 miesiącach prezydentury nie widać na poziomie faktów żadnego przełomu. Zapowiedzi, zagrania PRowe i wystąpienia są bardzo dobre i składają się na olbrzymi kredyt zaufania, jakim dysponuje Obama. Nie bez znaczenia jest kontrast wobec George W. Busha, który miał nadzieję, że „przyjdzie taki czas, gdy ludzkość wkroczy do układu słonecznego”.

Prezydent w swoim wystąpieniu skupił się na takich aspektach, jak Afganistan, Irak, konflikt izraelsko-arabski, napomknął również o demokracji, równouprawnieniu kobiet w państwach muzułmańskich i biznesie.

Konkrety jednak wyglądają miernie. Przenalizujmy kwestie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Można powiedzieć, że Obama „Ameryki nie odkrył”. Wszystko, co powiedział, padało już

wcześniej, ale w mniej atrakcyjnej formie, chociaż to podobno ona w znacznej części znamionuje sztukę. W Kairze prezydent podkreślał prawo do własnego państwa – i Izraelczyków i Palestyńczyków. Przypomniał we wzruszający sposób historię tych narodów i zapowiedział starania na rzecz pokoju. Skrytykował też izraelskie osadnictwo na ziemiach palestyńskich, mając na myśli Zachodni Brzeg Jordanu. Jak w romantycznym filmie – tylko happy endu brakuje.

Administracja amerykańska naciska na premiera Izraela, Benamina Netanjahu, by ten podjął rozmowy pokojowe. Problemy są jednak dwa. Pierwszy jest taki, że przywódca Likudu raczej nie zdaje się Amerykanom ustępować, a drugi jest taki, że choćby nawet bardzo chciał, to nie ma z kim rozmawiać, bo na Zachodnim Brzegu rządzi Fatah, a w Strefie Gazy Hamas. Nie widać żadnych symptomów poprawy, a przecież uznanie prawa do istnienia państwa palestyńskiego to nie autorski projekt Obamy. Cóż jest zatem przełomowego w tezie, że Izrael i Palestyna powinny pokojowo obok siebie istnieć? Czym się to różni od niegdyśniejszych wizji Szymona Peresa, Icchaaka Rabina czy Billa Clintona, a nawet oficjalnych deklaracji Mahmuda Abbasa, czy – w niektórych okresach – Jasera Arafata? Powiem więcej – pod koniec lat 60-tych i na początku 70-tych Organizacja Wyzwolenia Palestyny oficjalnie mówiła o możliwości współistnienia Palestyńczyków i Żydów w ramach jednego państwa.

Król jest nagi. Amerykanie mogą wpłynąć na Izrael, ale tego nie robią. Nie stosują magicznej i zbawczej mocy dolarów, z których tak szeroko korzysta państwo żydowskie. Obecnie istnieje oficjalna różnica stanowisk. Izrael nie ma nic przeciwko osiedlaniu się na Zachodnim Brzegu Jordanu swoich obywateli, Amerykanie owszem. Zobaczymy, czy Waszyngton będzie w stanie wyegzekwować swój postulat. Gorzej, jeśli znowu okaże się, że to ogon kręci psem. Przez same słowa nikt jeszcze pokoju nie zawarł. Na Bliskim Wschodzie, jak mało gdzie, liczą się konkretne działania, a tych do tej pory zupełnie brak.

Jakkolwiek wielkim zwolennikiem demokracji bym nie był, tak trudno nie skomentować uwagi Obamy, że żadne państwo nie powinno narzucać drugiemu systemu politycznego. To ciekawa deklaracja, szczególnie w kontekście oficjalnej doktryny Busha mówiącej o „szerzeniu demokracji”. Jak jednak nazwać amerykańskie działania w Iraku i Afganistanie? Przecież właśnie demokratyzacja tych krajów w jakimś sensie determinuje sytuację polityczną w tych państwach. Wynika to m.in. z niemal kompletnego braku tradycji demokratycznych. Nie dziwią problemy Afganistanu i Iraku, bo są to państwa etnicznie podzielone. Dopiero jakiś czas temu Amerykanie zaczęli rozumieć, jak prowadzić politykę w Iraku, ale deklaracja Obamy o „partnerskich” stosunkach nie brzmi poważnie. Partnersko to my zremisowaliśmy z „Lwami Mezopotamii” w meczu piłkarskim. Irak niewątpliwie będzie borykał się jeszcze wiele lat z typowymi problemami młodych demokracji, takimi jak korupcja, czy nietpewymi, takimi jak wybuchanie bomb. Jeśli zapowiedzi Obamy się sprawdzą i dojdzie do wycofania wojsk i rząd iracki przetrwa, to będzie znaczyło, że operacja zakończyła się sukcesem. Prezydent z gracją oczywiście pominął kwestię ropy i gazu mówiąc, że nie interesują Amerykanów irackie zasoby naftowe, w co mimo jak najlepszej wiary, trudno uwierzyć. Obama, wyciągając rękę do świata islamskiego, zdaje sobie sprawę, że w większości to nie są państwa demokratyczne, dlatego taka deklaracja nie jest przypadkowa. Zresztą, Fahdowie, Mubarakowie czy Allijewowie, to znani przyjaciele Stanów Zjednoczonych.

Barack Obama potwierdził również irańskie prawo do pokojowego rozwijania programu atomowego i propozycję swoich rozmów. Kolejny sympatyczny gest, jednak trzeba usiąść do rozmów. Tutaj należy rozgrzeszyć prezydenta, gdyż będzie to możliwe dopiero po wyborach w Iranie, po których możliwy będzie prawdziwy „change”. Do tego tańca potrzeba też dwojga i zobaczymy, czy Barack Obama będzie w stanie przekonać Iran do zmiany swojego stanowiska.

Ciekawe jest stwierdzenie prezydenta, że nie może być tak, że jedno państwo ma prawo do broni atomowej, a inne nie. Sprytne. Może rzeczywiście tak nie powinno być, ale tak właśnie jest! Przecież Izrael dysponuje bronią atomową i jest to najpotężniejszy z arsenału izraelskich odstraszaczy. Obama nawołuje do rozbrojenia, ale są to po raz kolejny tylko słowa, bo nie przekona Izraela, by ten pozbył się swoich głowic. Chociażby dlatego, że to jeden z fundamentów jego bezpieczeństwa. To właśnie zniwelowanie tej strategicznej różnicy jest jedną z przyczyn determinacji irańskiej.

Na koniec przemówienia znalazło się dużo miejsca dla biznesu. Kolejne piękne deklaracje, ale biznesmani co prawda kierują się polityką, ale przede wszystkim interesuje ich zysk. Zawsze na koniec przemówienia należy wspomnieć o czymś, co łączy ludzi, czyli pieniądzach.

Wystąpienie Baracka Obamy zwiększy jego kredyt zaufania. Czas jest jednak nieubłagany i w końcu ktoś zacznie rozliczać prezydenta z jego obietnic i deklaracji. Kiedyś w/w kredyt przecież trzeba będzie zacząć spłacać. Obamie należy życzyć powodzenia, bo spełnienie jego ambitnych deklaracji jest w interesie niemal całego świata. Pytanie brzmi, ile w tym wszystkim jest czystej Reapolitik i budowania swojej pozycji wokół hasła „change”, a ile prawdziwego wizjonerstwa męża stanu? Do tej pory głównym sukcesem Obamy jest oszukanie 3 nastoletnich piratów i uwolnienie kapitana statku w Zatoce Adeńskiej. Administracja bardzo płacze się też przy okazji tarczy antyrakietowej, Polakom obiecując jej wybudowanie, a z Rosjanami negocjując wycofanie się z projektu. Interesy państw światła są z reguły ze sobą sprzeczne i polityka „dla każdego coś miłego” nie ma szans powodzenia. Prawdziwe wyzwania dopiero przed prezydentem Stanów Zjednoczonych. Oglądaliśmy tylko rozgrzewkę.

Autor: Patryk Gorgol

Źródło: [Kącik Dyplomatyczny](#)